

Księga wyjścia – 38

6 grudnia 2019

Ballada na wiejskich rozłogach.

Zawsze lubiłem jeździć pociągiem. Ten sentyment został mi jeszcze z dzieciństwa. Przez okna widać akurat ten kawałek świata, który trudno dojrzeć, gdy już się wysiadzie na stacji i zwiedza miasto w sposób konwencjonalny.



To już ostatnie takie miejsca, gdzie można się zaszyć i poczuć namiastkę dawnej głuszy. Z rzadka jakieś domki, gdzie dominuje biedniejsza zabudowa – bo to przy torach – krajobrazy, które trudno uświadczyc z innej perspektywy. Dzięki spisywaniu kominów mam okazję dwa razy dziennie przejechać się tym sentymentalnym – choć nowoczesnym – środkiem komunikacji publicznej. Codziennie rano wsiadam do jednego z nich na trasie Kolei Mazowieckich i jeśli nie ma tłoku to zatapiam w myślach, i gapiąc w okno przywołuję wspomnienia z jazdy pociągami dawniej i dziś. W zależności, którą miejscowość ankietujemy wysiadamy albo na dworcu centralnym, albo gdańskim. Z gdańskiego metrem do Młocin, a potem szukamy odpowiedniego autobusu. Z Centralnego wygląda to trochę inaczej, Czasami zabiera nas koleżanka, która w wolnych chwilach również spisuje z nami kominy, a jeśli nie może to

szukamy autobusu jadącego w odpowiednim dla nas kierunku. Przy centralnym jest pętla z której widać, częściowo już przysłonięty Pałac Kultury. Za każdym razem klnę w myślach tych wszystkich, którzy mieli pomysł by go zburzyć, albo zastąpić nowoczesnymi biurowcami. Z jednej – północno zachodniej strony nawet im się to udało. Od strony centralnego widać jedynie jego część i to właśnie ze wspomnianej pętli autobusowej. Zastanawiam się skąd w ludziach wzięły się te pomysły by go zniszczyć. Budynek ten tak wkomponował się w krajobraz miasta, że bez przesady można powiedzieć, że jest to „Wieża Eiffla Warszawy”. Paryż też miał problem ze wspomnianą budowlą, był to projekt wybudowany na wystawę światową i miał stać tam jedynie 20 lat. Podobno wtedy szpecił miasto, ale teraz stolica Francji bez tej wieży nie byłaby już Paryżem. W każdym razie chyba nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie tego miasta nie przywołując jej w myślach.

Tak samo jest z Warszawą i jej PKiNem. Za każdym razem gdy tam stoję nie potrafię myśleć o niczym innym. Powrót wygląda podobnie, tylko zamiast zatapiać się w sobie, marzę o jak najszybszym dotarciu do domu i gorącej herbacie. Zwykle po całodziennym przemarznięciu przysypiam już w ciepłym pociągu, by autentycznie po powrocie paść natychmiast zasypiając. Wracając jednak do pracy. Im dalej w las tym trudniej o drewno – pomyślałem któregoś dnia rozpoczynając wędrowkę po podwarszawskich wioskach. Coraz rzadsza zabudowa, coraz trudniej trafić, dni krótkie, jakby urwane, a do tego przejmujący chłód. Z gęstej zabudowy przeszliśmy dalej, w rejony rolne. Czyli porozrzucane gospodarstwa do których prowadzi zwykle idealna droga. Idealna, ale tylko dla traktorów. Z tym urywającym dniem wcale nie przesadzam, nie miałem pojęcia, że proces zaciemnienia następuje tak szybko. Zdarzyło mi się kilka razy, że było zupełnie widno gdy udało mi się odnaleźć jakieś odległe gospodarstwo, a kilkanaście minut później, po wypełnieniu ankiety, gdy wracałem było już na tyle ciemno, że miałem kłopoty z trzymaniem się środka tej drogi. Bo środek jeszcze jest suchy. Nie były to jakieś

dramatyczne sytuacje, ale utrzymanie po ciemku trajektorii marszu na dogodnym kursie środka trasy wymaga wprawy, lub niezłej gimnastyki. Mimo największej ostrożności, co chwilę stawiam nogę nie tam gdzie trzeba, słychać wówczas charakterystyczne pluśnięcie i moje głośne przekleństwa. Mimo tych niedogodności trudno nie poczuć się Stachurą, w głowie pojawiają się fragmenty „Siekierozady” czy „Całej jaskrawości”. Ale bywa, że zamiast siarczyście zakląć gdy wejdę na mokre, ze śmiechem mówię do siebie „cudne manowce” (również Stachura).

Wszystko zależy od nastroju. A nastrój od przeprowadzonej rozmowy. Bywają i miłe i mniej miłe. Ale jak na razie z chamstwem się nie spotkałem. O pracy ankietera napisałem już chyba prawie wszystko. Był to główny temat kilku poprzednich odcinków i postaram się już więcej nie robić z tego głównego tematu. Trudno jednak wyrwać się myślami, a co za tym idzie i pisania – z pracy, która przez ostatni miesiąc zdeteminowała w całości moje życie. I to dosłownie, od pobudki po wieczorny „zgon”, czyli moment, gdy już ledwo żywy wracam do domu.

Początkowo, przy gęstej – tej typowo podmiejskiej – zabudowie, przechodziłem od furtki do furtki i jeśli tylko się dało, to załatwiałem sprawę przez domofon, lub videofon, do którego wcześniej przystawiałem gminny identyfikator by monitor właściciela uwiarygodnił powód mojej wizyty. Potem był etap kontrastów, ale on też został już za nami. I wydawałoby się, że całkiem fajne zajęcie, stało się zwykłą, codzienną udręką. I pewnie tak by było, gdyby nie ciekawość i nastawienie. Traktuje tę pracę jako przygodę i chyba dzięki temu wytrzymuję. Dobrą stroną jest to, że kompletnie nie wiem co dzieje się na świecie, odciąłem się od wszelkich bieżących informacji. Po prostu nie mam czasu ich śledzić. I wiecie co. Wcale mi ich nie brakuje. O ile zawsze byłem na bieżąco, tak teraz jestem wśród ludzi, w centrum Polski, dwa razy dziennie spędzam trochę czasu w stolicy, a czuję się jakbym mieszkał w Bieszczadach. Czasami przeglądając w autobusie fejsbuka,

docierają do mnie skrawki czyjś oburzenia na kogoś zachowanie. Ale gdy po raz kolejny widzę napis „dzban”, to już nie mam ochoty dociekać dalej co autor miał na myśli. Wracając jednak do pracy, o ile wcześniej wypisanie jednej ankiety zajmowało kilkanaście sekund, może pół minuty, czasami gdy trafił się rozmowny i ciekawy mieszkaniec to nawet rozmawialiśmy trochę dłużej, to teraz na jedną ankietę trzeba poświęcić przynajmniej dziesięć minut. I to w biegu. Nawet jeśli jest to główna ulica wioski, to i tak wszyscy są gdzieś w „obejściu” i zanim wywołają głowę rodziny, muszę spokojnie poczekać. Głowa rodziny często zajmuje się w tym czasie gołębiami. A gdy już przyjdzie to najpierw wypyta po co robimy te ankiety, tak by mógł wykombinować jaka odpowiedź będzie dla niego najlepsza. Wciąż jednak są momenty, które lubię. Rozmowy z niektórymi ludźmi i jazdę pociągiem o czym już wspomniałem. Do tego drugiego jeszcze wrócę jak nie w tym, to kolejnym felietonie, ale zatrzymam się chwilę przy ludziach. Wspomniałem wcześniej, że jest znacznie mniej kontrastów, nie oznacza to jednak, że ich nie ma. Pomiędzy gospodarstwami z prawdziwego zdarzenia, potrafi wyłonić się z kniei pojedyncza, stara jak świat chatka, taki zapomniany wiejski domek. Zobaczyłem pewnego dnia w oddali taki chatę, mocno leciwą, dwuizbowa chałupka, jeszcze w tej okolicy gdzieś się zdarzają. Zazwyczaj są one opuszczone, najczęściej wisi odrapany napis „na sprzedaż”. Bywa jednak, że czasami mieszka tam jeszcze mocno starsza kobieta – nadal nie trafiłem na samotnego dziadka. Tu jednak wykluczyłem to z góry. Już z daleka wyglądał na opuszczony. Wyraźnie widać było, że nie trzyma pionu, a ściany rozjeżdżają się na wszystkie strony. Było jeszcze dosyć widno, więc i ocena wydała mi się właściwa. Przystanąłem by wypełnić ankietę. Miejscowość, ulicę, numer domu – nie widać nawet tabliczki, czyli rzeczy oczywiste, chciałem już dopisać opuszczony, ale jednak natrętna ciekawość kazała mi podejść bliżej. Choćby po to, by sprawdzić czy faktycznie nie ma tej tabliczki, a może to ciekawość podsunęła mi ten pretekst. W pewnym momencie wydawało mi się, że z komina unosi się dym. Układ chmur był jednak na tyle

przedziwny, że zwałam to na złudzenie. Jakąś anomalię. Zbieżność chmury i komina, trafiały mi się już kilka razy takie przypadki, więc nie byłem tym specjalnie zdziwiony. Chociaż to uroczy widok, to potrafi zmylić. Z dawnego płotu została już tylko równie pokrzywionych furtek. Tabliczki nie było i nie spodziewałem się tam zastać nikogo, a jeśli już to co najwyżej szukających schronienia bezdomnych. Tak po cichu trochę na to liczyłem, moglibyśmy zamienić kilka słów, które potem mógłbym opisać. Gdy już podszedłem pod drzwi, zobaczyłem wiszący w zadbanej doniczce kwiatek, kilka wiszących ozdób zupełnie niepasujących do miejsca. Całkiem ładny, widać że pielęgnowany – pomyślałem o kwiatku. Zapukałem delikatnie do drzwi w obawie, by nie wyleciały z wraz futryną. Ponieważ przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał, krzyknąłem głośno „dzień dobry”. Po chwili, zza domku wyszła uśmiechnięta staruszka. Okazało się, że ten dom nie jest opuszczony, a właścicielka zajęta była układaniem drewna, które wcześniej sama sobie porąbała. Dopiero gdy usłyszała mój krzyk wyszła zobaczyć kto ją odwiedził. Nie pytałem o wiek, ale pewnie była blisko dziewięćdziesiątki. Ostatnim razem również trafiłem na kobietę, która miała 92 lata i w pełni logicznie, trzymając się tematu odpowiedziała na wszystkie moje pytania.

Tym razem też musiałem wyklepać formułkę ankietera, czyli czym pali czy chce modernizować dom itp, wypełniłem ankietę i nawet chwilę porozmawialiśmy. Mówiła, że ma dzieci, wnuki, a nawet kilkoro prawnuków. Opowiadała, że dzieci już na emeryturze, a wnuki dobrze sobie radzą. Są w Warszawie na „dobrych posadach”. Nie wiem czy to moja wyobraźnia, czy w jej oczach pojawiły się łzy. I jak zawsze, chętnie pogadałbym dłużej, ale ten cholerny czas poganiał. Spacerując tak po tych wiejskich rozłogach mam sporo czasu na myślenie, oczywiście głównym jego punktem jest to, by nie wpaść w kałużę, ale czasami zastanawiam czy za dziesięć, dwadzieścia albo i więcej lat naukowcy nie dojdą do wniosku, że jednak palenie drewnem jest najbardziej ekologiczne. Spalany gaz również wypuszcza do atmosfery całą masę trujących substancji. Bo, że nauka jest

przewrotna wiedzą wszyscy, którzy śledzą jej arbitralne dyrektywy, coś mi się przypomniało o głośnej niedawno dziurze ozonowej. Jeszcze nie tak dawno wieszczono zagładę z tego powodu. No nic, może ją już załatali. Czas na mnie, już ledwo widzę litery. Postaram się już więcej nie zanudzać Was opowieściami z życia ankietera, ale jak będzie – zobaczymy. Do przeczytania w kolejnym odcinku.

Autorstwo: Piotr Jastrzębki

Źródło: Trybuna.info